Nr. 32. Rok I.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI

NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Cena prenumeraty: kwartalnie w miejscu 15 sbr., na prowincji 18 sbr. 9 fen., w Krakowie i Lwowie 1 złtr. 20 c., w Galicji i w innych krajach austrjackich 1 zlr. 40 c.

Poznań, 5 Sierpnia 1871.

Redakcja przy ulicy Berlińskiéj Nr. 14.
Ajencje: Lwów: Milikowski, Gubrynowicz i Schmidt. Kraków: Friedlein, Józef Czech.

KILKA UWAG

NAD ARTYKUŁEM

P. STEFANA PAWLICKIEGO:

ANTROPOLOGJA PRZEDHISTORYCZNA I CHRONOLOGJA MOJŻESZA.

(Dokończenie.)

Wszakże dotąd nie widzimy, aby kościół z powodu tych nowych tajemnic wiary został zagrożony. Biskupi wszyscy ulegli postanowieniom większości Soboru, a tu i owdzie pokazujące się oppozycje pojedynczych duchownych i profesorów, nie przybrały żadnych groźnych rozmiarów i nie przybiorą na przyszłość, dopóki kościół żelazną konsekwencją przez exkomunikę małą i wielką dogmatu nieomylności przeprowadzać nie będzie. Z téj więc strony niebezpieczeństwo kościołowi naszemu nie zagraża; a gdyby nawet wybuchło, kościół uprawniony do stanowienia dogmatów, potrafi je pokonać, bo ma za sobą duchowieństwo i nieskończoną ilość prawowiernych, krom zapowiedzi Bożéj: „tyś jest opoka, a na téj opoce zbuduję kościół mój, a bramy piekielne przeciwko niemu nie przemogą.“

Autor „odpowiedzi“ widzi zatém zapewne zagrożenie kościoła w dokonanym zamachu na Rzym i państwo papiezkie. My Polacy, doświadczywszy na sobie podobnego gwałtu na byt polityczny ojczyzny naszéj, nie możemy już dla tego samego pochwalać tego, co zaszło nie dawno temu we Włoszech i naganić musimy publicznie przewagę siły nad prawem historyczném monarszéj władzy papieżów nad państwem kościelném. Bolejemy w ogóle, że ta katastrofa trafić właśnie musiała Piusa IX, jednego z najgodniejszych następców Piotra Ś. na stolicy apostolskiéj, i żarliwego zastępcy i przyjaciela interesów rozszarpanéj Polski, przed Bogiem i przed monarchami, podczas, gdy inni mocarze świeccy w cichości się przypatrywali, niesłychanym, i dotąd trwającym prześladowaniom narodowości i sprawiedliwych nadziei naszych. W téj mierze są sympatje nasze po stronie Ojca Ś. nie tylko jako katolików, ale i jako Polaków.

Nie tajemy téż sobie wielkiéj doniosłości dokonanego gwałtu na Ojcu św. gdy mu odebrano rządy świeckie i majestat udzielnego monarchy, który dotąd otaczał głowę kościoła katolickiego i stawiał go na równi z majestatem tronów świeckich. Jest to przejście dotkliwe i bolesne nie tylko dla Papieża, ale i dla każdego prawego katolika, który w Ojcu św. przywykł zarazem widzieć blask godności monarszéj, i dziś nawet pojąć nie może, jak bez téj godności ostać się będzie mogła duchowna powaga głowy katolickiego kościoła.

Ale inna jest rzecz, czy ztąd kościół sam jest zagrożonym i czy państwo papiezkie stało się koniecznym warunkiem dalszego pomyślnego istnienia kościoła. — Pomijam, jakie moralne szkody ponosił kościół wielekroć po połączeniu korony z tyarą, sądzę i owszem, że państwo papieskie powstać musiało, aby mianowicie w wiekach dawniejszych, jako jedyna potęga moralna i oświecona, zaimponować światu majestatem udzielnego księcia. Wszelako podnoszę tę okoliczność, że jeżeli Papieże, aż do czasów Pipina i Karola Wgo zachowali świętość i po-

wagę wysokiego stanowiska swojego, nie będąc udzielnymi książętami, to ją zachować potrafią, choćby nimi być przestali. Kładę przycisk i na to, że niezawisłość monarsza, oświetlająca urokiem świeckiego majestatu najwyższą władzę Ojca Śgo, nie jest rzeczą essencjonalną wiary katolickiéj, i dla tego téż nigdy do znaczenia dogmatu podniesioną nie była. Zniesienie więc świeckich rządów papiezkich nie zagraża w niczem saméj wierze katolickiéj

Przedewszystkiem zaś daję na uwagę, że każda instytucja, wywołana potrzebą czasu, póty się utrzymuje, póki ma siły żywotne w sobie, które czerpie z towarzyszących jéj okoliczności, na jakich wzrosła i które ją trzymają; — gdy już sztucznie podtrzymywaną być musi, dowodzi, że przejrzała, że okoliczności które ją wywołały nie istnieją więcéj i dla tego siły żywotne z niéj ustępują. Tak państwo kościelne silne było i potężne, póki istniała potrzeba połączenia władzy duchownéj i monarszéj w jednéj osobie. Ale państwo to, które, jako kościelne, powinno było być wzorcem pomyślności i dobrych urządzeń dla wszystkich innych państw świeckich, nie odznaczyło się nigdy ani swobodami gminnemi ani politycznémi. Rządcy Francji państwo to wskrzesili, Napoleon III. już wojskiem swojem i dyplomacją podtrzymywać je musiał. Ze straszliwą klęską Francji jakiéj niepamiętają dzieje, i z upadkiem Cesarza Francuzów, runął zarazem świecki tron Piusa IX. Jest to ważna signatura temporis, ważniejsza, niżeli okoliczność, którą szanowny recenzent przytoczył na poparcie zdania swego, że dzisiejszy Ojciec św. pierwszy z 260 papieży doczekał się lat Piotrowych.

Wszzkże nie w tych niedostatkach politycznéj i gminnéj administracji kościelnego państwa, leży przyczyna jego upadku. Leży ona mojem zdaniem w rozmagającym się na wszystkie strony rozwoju umiejętności i oświaty. Wzrosła nowa rozumowa potęga, dźwigana opinią publiczną, która ludom zdobyła konstytucyjne i municypalne swobody, a podkopała zastarzałe maszyny i przesądy. Ona nadwątla i osłabia władze wszystkie monarchiczne, ograniczając je ustawami państwa. Jakaż to różnica między monarchią Ludwika XIV, który wyrzekł: Państwo to ja, a owem orzeczeniem nowoczesnem, że monarcha panuje ale nie rządzi wszystko bierze demokratyczny zakrój, i nowe państwa na rzeczpospolite się organizują. Zwolna autokracje, daléj monarchje ograniczone poniknął. Gaśnie olśniewający, w adoracji prawie boski, blask świeckiego majestatu. Zgasł téż blask monarszy Ojca Św. nie obudziwszy ani oburzenia na gwałt dokonany, ani zapału wiernych ku restytucji świeckich rządów papiezkich, jak tego się ultramontanie spodziewali i jeszcze spodziewają. Idea oświaty wieku dziewiętnastego wyparła i urok i potrzebę rządów samodzielnych w ogólności, a papiezkich w szczególności. I oto przyczyna dla któréj się gwałt udał.

Obok poglądów sz. recenzenta na stosunki tak wielkiego znaczenia, którym uważałem za potrzebę kilka uwag poświęcić, dostało się i mojéj małoznacznéj rozprawie „o mieszkaniach nawodnych" znaczenie nie małéj wagi, bo ją sz. autor znalazł wystosowaną przeciw nauce kościoła, a napisaną w celu propagowania materjalizmu. Boleję nad takiem oskarżeniem, ale się do winy nie przyznawam. Gdybym zaś chciał się tłomaczyć stawając we własnéj obronie, sprawdziłoby się może na mnie przysłowie: qui s'excuse, s'accuse.

Wszakże pan Stefan Pawlicki nie tylko ze stanowiska wiary katolickiéj moją pracę ocenił, ale starał się dość obszernym umiejętnym wywodem, moje i innych autorów zapatrywania się, jak je nazywa, materjalistyczne, w téj materji obalić. Tuby może było pole krytycznego rozprawienia się z autorem. Tymczasem ani ja nie jestem specjalistą w geologicznych i nawodziskowych badaniach, choć mi one nie są obce, jako uczniowi dość głośnego geologisty i mineralogisty, profesora Weissa w Berlinie; — ani, jak mi się widzi, nie jest nim szanowny recenzent, chociaż różnych i licznych w tym przedmiocie przytacza autorów. Bo aby przyswoić sobie specyalność geologiczną, nie dosyć przeczytać, lub tylko przewartować kilkanaście w téj materji książek. Trzeba ku temu koniecznie autopsji i naocznego badania odsłonionych pokładów ziemi i zachowanych w nich zabytków z trzech królestw natury i z przemysłu ludzkiego, aby na nich budować własne przekonanie i sprawdzać obce domysły i postrzeżenia. Trzeba dokładnje znajomości chemji, historji naturalnéj porównawczéj, i tylu innych szczegółowych nauk wchodzących w zakres badań geognostycznych. Nadewszystko potrzeba zamiłowania téj osobnéj i ciekawéj gałęzi badań i zapatrywania się na rzecz z bezstronnego, li naukowego stanowiska. Jak mało zaś szanowny autor odpowiada tym dwom ostatnim potrzebom specjalnego w geologji ukształcenia, dowodzi nie tylko jego religijne usposobienie, każące mu brać chronologję i genezę mojżeszową za normę badań geologicznych; ale i zupełna nieznajomość tak zewnętrznych pokładów naszego planety, jak wewnętrznego składu warstw napływowych. Ku czemu jeden tylko przykład przytoczę.

Jednym z dowodów oznaczenia w przybliżeniu chronologji przedhistorycznéj, są pokłady torfu, mianowicie duńskie, dochodzące do wysokości 30 stóp, i dające składem swoim świadectwo odległych wieków, odkąd się formować zaczęły. Wiek ich porostu jest zagadką do rozwiązania, które tylko nastąpić może przez skrupulatne obserwacje i na mocy prawa przyrodniego, które się wszędzie w pierwotnych formacjach najściślejszym porządkiem i regularnością odznacza, Przyroda nie zostawia nic przypadkowi, ani dowolności, ale postępuje wedle pewnego, niezmiennego systemu tak w przyroście, jak w ubywaniu. Ztąd wniosek dość pewny, iż, jeżeli uda się dowieść, że pokład torfu, w lat sto, o jedną stopę się podnosi, to kolumna torfu 30 stopowa, trzydzieści wieków wynosi, a jeżeli się podnosi tylko o jeden cal, jak to zauważał Boucher de Perthes natenczas taż kolumna ma 30000 lat wieku. Sz. recenzent zbija to przypuszczenie z odwołaniem się na Karola Vogta, który, nie mogąc się nigdy w téj materji coś pewnego dowiedzieć, wyrzekł kilkakrotnie, iż nie mamy żadnéj danéj podstawy do obliczenia przeciągu czasu, w którym jakieś torfowisko powstało. Zapewnienie to pana Vogta, jest zupełnie słuszne i sprawiedliwie. Bo torfowiska nie poczęły się tworzyć w jednym czasie, ale przedzielone być mogły długiemi perjodami wieków i z różnych powstawały przyczyn. Każde więc torfowisko wymaga ogólnéj obserwacji i osobnych danych, jeżeli perjod jego formacji ma być oznaczony- Skład jego warstw daje zawsze miarę jego odleglejszego lub późniejszego powstawania.

Następnie dla wyszydzenia chronologji, opartéj na formacji torfu, sz. recenzent przytacza: że we Fryzji rowy wybite w torfowiskach, sześć stóp głębokie, zarastały w 30 latach, Jeżeli ten szybki narost weźmiemy za miarę, to owe duńskie pokłady torfowe nie liczyłyby 30000 lat, ale tylko 200 lat, obie liczby wyraźnie pokazują się fałszywe, a jednak każda na pewnych obserwacjach oparta. „Takiéj to ścisłości — konkluduje sz. recenzent — są argumenta, które wywrócić mają tradycję Mojżesza"! Jeżeli nie zła wiara, o którą szanownego recenzenta nie posądzam, to chyba sama niewiadomość rzeczy mogła taką konkluzję wywołać. Jakże można z torfami pierwotnemi porównać rumowisko wypełniające wądoły torfowe, składające się z odrzuconéj a potem w dół wrzuconéj wierzchniéj warstwy ziemi, z mułu i późniejszego napływu i ścieku z ról i łąk, będące o tyle tylko torfem, o ile tam mięszają się okruchy i odłamy samego torfu, który się wykopuje! Kto jedno za drugie bierze, składa dowód, że się jednemu i drugiemu nigdy nie przypatrzył.

O nawodziskach nie rozpisuję się szeroko. Nie widziałem żadnych, prócz Czeszewskiego. Com o nich w ogólności napisał, czerpałem z innych autorów. Wiadomości mieszkań nawodnych datują od 1854 roku, gdy je Keller w Szwajcarji pierwszy odkrył i opisał. Badania nad niemi archeologiczne są zatem jeszcze bardzo młode. A w przedmiocie tak świeżym, mogą być różne zdania, tak co do celu, jakiemu odpowiadały, jak co do epoki, w której je budowano. Ich przedhistoryczność polega na téj okoliczności, że w historji, ani w tradycji ludów, nie pozostała o nich żadna wieść, żadna wzmianka, co się tylko wielką odległością przedzielającego czasu tłomaczyć może.

Wywody sz. recenzenta i tych autorów, których przytacza, na dowód nie tak odległego pochodzenia tych budowli, sięgającego epoki przed inwazją Rzymską do Helwecji, a najdaléj epoki mojżeszowéj, nie przekonały mnie wcale. Gdyby tak było, niepodobna przyjąć, aby historycy rzymscy i sam Juliusz Cezar, który znał Helwetów dokładnie, nie byli nic o téj szczególnéj budowie wspomnieli, już dla saméj jéj oryginalności; — niepodobna daléj przypuścić, aby tradycja o nawodziskach, jeżeli wśród historycznych czasów powstały, była się między ludem zupełnie zatarła. Dla mnie prócz tego dowodem przedhistoryczności nawodzisk, są zabytki epoki kamiennéj, jakie w większéj części nawodnych siedlisk ponajdywano bez najmniejszego śladu śpiżu lub żelaza; — są daléj skamieniałości różnych przyrządów z kości wyrobionych i petryfikacje zębów, rogów i innych kości, należących do rodzaju zwierząt oddawna już wyginionych; — nakoniec są czaszki niesformowane na podobieństwo czaszek dzisiejszych mieszkańców Szwajcarji, jak to autor utrzymuje, ale o wiele mniejsze, i inaczéj złożone. Cząstkę czaszki odnalezioną w nawodzisku Czeszewskiem, rozmierzył i opisał uczony i znakomity profesor Majer z Krakowa.

Kończę uwagą, choć mi się wydaje zbyteczną, że przedhistoryczność, co do epoki czasu jest wyrażeniem względnem; może sięgać przedadamowych czasów, tak jak je Mojżesz naznacza, ale może trwać i w historycznych okresach, ale w oddali i w odstępie od miejsc, w których się rodzima oświata nie rozwinęła a historja oświeconych ludów tam nie sięgła. Aby więc epokę nawodzisk odnieść po za chronologię mojżeszową, trzeba na to innych danych, które tylko geologja i geognozja, naukowemu i ścisłemu badaczowi podać może.

D. Libelt.

HISTORJA SIWEGO WŁOSA.

Powieść

Władysława Łozińskiego.

(Dalszy ciąg.)

Po raz pierwszy zazdrość jenerała była usprawiedliwioną, po raz pierwszy zasadzała się ona nie na wrodzonéj podejrzliwości, nie na pozorach jedynie, spowodowanych owém scharakteryzowaném już powyżéj usposobieniem Adeli — ale na rzeczywistéj podstawie...

Scena na balu nie była zwykłą sceną zazdrości, wywołaną bez podstawy przez Rokickiego. Hrabina Adela czuła się tym razem winną w obec męża i w obec siebie...

Sławna z okrutnych figlów, płatanych najniebezpieczniejszym Don Żuanom, hrabina, poskromicielka pretensji i zarozumiałości tylu uprzywilejowanych zdobywców serc niewieścich, królowa kładąca z pustem szyderstwem stopy swe na serca męzkie, stała się ofiarą młodego człowieka, wstępującego w świat dopiero.

Był nim znany już naszym czytelnikom Oktaw Jarski. Był to daleki kuzyn hr. Rokickiego. Jarski liczył się do najarystokratyczniejszych rodzin kraju, lecz nieposiadał żadnego prawie majątku. Wychowany za granicą, gdzie matka jego stale przebywała, Jarski przybył do kraju, gdzie według życzenia i silnéj nadziei swéj matki, miał zrobić w krótkim czasie karjerę.

„Zrobić karjerę“ — ileż w tém wyrażeniu nie mieści się najrozmaitszych pretensji, nadziei, planów i widoków, to skromnych, to przesadnych, to możliwych, to wprost niepodobnych! Zdaniem hrabiny Jarskiéj syn jéj zasługiwał na najświetniejszą karjerę. Była tego najmocniejszego przekonania, że, zaledwie pojawi się w kraju, obsypany zostanie dostojeństwami lub przynajmniéj miljonową „zrobi partję.“

— Za rok lub dwa lata — mówiła do siebie pani Jarska, pocieszając się w tęsknocie za ukochanym synem — Oktawek będzie znakomitym człowiekiem, szczęśliwym mężem i panem wielkiéj fortuny.

Do tego wszystkiego pomocnym miał być Oktawowi jenerał Rokicki, o którego wysokiem stanowisku, ogromnych wpływach i wielkiém wzięciu między ziomkami, Jarska tyle słyszała i czytała. Oktaw przybywszy do kraju zgłosił się zaraz do Rokickiego, który go przyjął poważnie ale ze szczerą przychylnością. Uczynił dla niego wszystko, co się czyni dla kuzyna, wprowadził go w najznakomitsze towarzystwa stolicy i dom swój pozwolił mu uważać za własny.

Oktaw korzystał z tego pozwolenia tém chętniéj, że w żonie jenerała znalazł najpiękniejszą i najgrzeczniejszą gospodynię. Przystojny, wesoły, dowcipny, wytwornie wykształcony Oktaw podobał się bardzo hrabinie. Sama młodość Oktawa, jego niedoświadczenie i odzywająca się w nim zbyt często jeszcze naiwność w zapatrywaniu się na świat i ludzi, dodawały mu w oczach Adeli osobnego, ujmującego uroku

— Powierz się mnie, kuzynku — mawiała śmiejąc się hrabina do Oktawa — ukończę twoją edukację...

Oktaw z pewnością nic nie miał przeciw temu. Powierzył się swojéj pięknéj nauczycielce i pokazało się wkrótce, że uczeń młody niebezpieczniejszym był, niż się zdawało. Przychylność prosta dla Oktawa, zmieniała się w zajęcie, zajęcie poczęło przybierać cechę uczucia. Po kilku miesiącach znajomości Adela nie mogła utaić już tego przed sobą, że Oktaw jest czemś więcéj dla niéj, niż przyjemnym mężczyzną dla lubiącéj wesołe towarzystwo kobiety, niż kuzynem dla dalekiéj kuzynki...

Gdy hrabina zdała sobie sprawę z tego stosunku, przejęła ją trwoga prawdziwa. Usiłowała niewierzyć sama sobie, wyszydzić wzrastające uczucie, stłumić je w samym zawiązku. Wszystko to było daremném — Adela czuła, że to co dziś jeszcze da się nazwać rozmaicie, jutro domagać się będzie stanowczo nazwy miłości...

Do tego jutra nie przyszło było jeszcze, a uczucie w obec Oktawa nie było dotąd pełną, rozwiniętą, skończoną miłością. Hrabina broniła się przeciw niéj zacięcie, ale czuła, że opór ten słabnie, że chwile zupełnego poddania się uczuciu stają się coraz częstszemi, i że trudno jéj coraz bardziéj, zatrzymać się przy półuczuciach i półsłówkach...

Hrabina trzymała się w obec Oktawa taktyki, która

najlepiéj świadczyła o jéj wzajemności, choć ją właśnie maskować miała. Nie mogąc pokonać wzrastającego uczucia, Adela wysilała się głównie na to, aby ile możności ukrywać je przed Oktawem. Tymczasem maskowane tak uczucie wzrastało coraz bardziéj — a Adela mimo szczerych usiłowań nie przeszkodziła temu, aby Oktaw dojrzał, że nie jest obojętnym swéj pięknéj kuzynce…

Niepodobna było, aby przy takim stanie rzeczy jenerał nie uczuł niepokoju. Wyjątkowo jednak Rokicki, czy to że wyleczył się już był po części z swéj chronicznéj zazdrości, czy téż, że walczył z nią i stłumić ją usiłował, mając już tyle dowodów niewinności Adeli, otóż wyjątkowo, mówimy, nie zdradził dotąd swego podejrzenia ani jedném słówkiem.

Stosunek Oktawa do Adeli zaczynał być już jednak takim, że niepokoić mógł męża mniéj nawet zazdrośnego z natury. Podejrzenia hrabiego wzrastały, a im dłużéj umiał je tłumić w sobie, tém gwałtowniejszym groziły wybuchem. Nad horyzontem małżeńskiego szczęścia Rokickich zawisła złowroga chmura.

Od kilku tygodni jenerał był chmurny, ponury i zamyślony — a stan ten przykry stawał się tém gorszym, że Rokicki daremnie czekał na pierwsze kroki ze strony Adeli, do których był już przyzwyczajonym. Wspominaliśmy już, że ile razy jenerał doświadczył paroksyzmu zazdrości, Adela z całą swobodą czystego sumienia umiała wyspowiadać go sama, umiała z przedziwnym taktem i wesołością pełną słodyczy rozbroić jego podejrzenia, sprowadzić je do zera i zawstydzić jenerała, który po każdém takiém wyjaśnieniu, jeżeli to być mogło, bardziéj jeszcze kochał swoją żonę. Tym razem Adela zachowywała takie same milczenie jak Rokicki, chociaż niepodobna było, aby nie odgadywała jego podejrzeń. To wszystko dręczyło jenerała, wzmagało jego rozdraźnienie, wikłało bardziéj sytuację i czyniło ją tém groźniejszą.

Scena na balu była pierwszą błyskawicą zapowiadającéj się burzy. Gdyby nawet nie złośliwe owe uwagi i alluzje, któremi obsypano Rokickiego „pod kaktusem“ — jenerał byłby sprowadził rodzaj wybuchu, już dla tego samego, aby wywołać eksplikację i zniewolić poniekąd Adelę, żeby dawnym swym zwyczajem rozproszyła chmury, które sama zgromadziła, wyleczyła ranę, którą sama zadała.

Po raz pierwszy od tak długiego czasu Adela tego nie uczyniła, bo uczynić nie mogła. Czuła się winną, i to zmieniało zupełnie jéj stanowisko. Była sama zatrwożoną i bezradną, czuła się nawet prawdziwie nieszczęśliwą…

Gdy Rokiccy wracali po balu do domu, nie przemówili do siebie ani słówkiem. Głuchy turkot karety wtórzył ich zadumom. Hrabia rzucił się w kąt karety, a milcząc, chmurzył swe piękne, wysokie czoło i szarpał w rozdraźnieniu wąs biały. Hrabina czuła dziwny lęk po raz pierwszy w życiu, który jéj ściskał serce. Chciała przerwać milczenie, które gniotło jéj piersi, jak duszna atmosfera przed burzą, ale nie umiała znaleźć słowa…

Gdyby ciemne wnętrze karety zostało w téj chwili oświetlone, widzielibyśmy Adelę, tę piękną, przed chwilą rozkosznym czarem owianą kobietę, tę jaśniejącą wdziękami i weselem królowę balu prawdziwie do niepoznania zmienioną. Ujrzelibyśmy ją bladą, z wyrazem dziwnego pomięszania na twarzy, z smutkiem na tak jasném przedtém czole, z oczyma spuszczonemi w dół, nieśmiejącemi mimo ciemności spojrzeć w stronę, po któréj siedział jenerał…

Adeli zdawało się, że mimo ciemności nocy mąż widzi jéj postać, że wzrok jego groźny i przenikliwy tkwi w jéj pomieszanéj twarzy, czyta na niéj wyznanie winy… Ta myśl była torturą dla hrabiny…

Nareście znaleźli się w domu. Jenerał odprowadził Adelę do jéj pokojów i został przy niéj przez chwilę. Adela rzuciła się w fotel i milcząca, nieruchoma siedziała w nim z spuszczonemi oczyma. Zdawała się czekać pierwszego słowa jenerała, poddając się spodziewanéj burzy, jak skruszona winowajczyni wyrokowi…

Rokicki tymczasem czekał także, czekał przemówienia Adeli, może wesołego skarcenia i téj żartobliwéj swady, która go przedtém tyle razy rozbrajała i zmuszała do wyznania winy i do czułych przeprosin. Tym razem zawiódł się w swéj nadziei. Adela nie podniosła oczu, przez pobladłe jéj usta nie przeleciał uśmiech; siedziała w martwéj zadumie, czy pomięszaniu.

Jenerał kilka razy ruszał się niecierpliwie, kilka razy chciał sam przemówić pierwszy, ale kończyło się zawsze na zamiarze tylko. Nareście powstał żywo z krzesła, i rzekł szorstkim tonem:

— Wyjeżdżamy na wieś, do Zbrojnéj…

— Mówiłeś mi już o tém… — odparła cicho Adela.

— Wyjeżdżamy jutro, pojutrze, za trzy dni najdaléj! Czy niemasz nic przeciw temu?

— Nie… — odpowiedziała Adela nie podnosząc oczu.

Jenerał zatrzymał się, jakby w najwyższém zdziwieniu. Spojrzał badawczo na żonę i rzekł drżącym od rozjątrzenia tonem:

— Dobranoc!

Wychodził krokiem powolnym z sypialni, oglądał się kilka razy, zatrzymał się nawet dłużéj przy drzwiach, jakby spodziewał się jeszcze, że Adela przemówi coś więcéj. Daremnie…

Adela milczała, a nawet spojrzeniem nie odprowadziła go do drzwi… Jenerał wybiegł w najwyższém wzburzeniu.

Już kilka godzin minęło od powrotu, a w pokoju Rokickiego słychać było ciągle kroki. W rozdraźnieniu swém jenerał prawie nie zmrużył oka, a ledwie dzień zaświtał, począł wydawać dyspozycje do wyjazdu, mimo przykréj, zimowéj pory.

III.

Matka Oktawa mieszkała stale za granicą. Była ona wdową, a Oktaw był jéj jedyném dzieckiem. Majętna bardzo z domu, poślubiona z człowiekiem, który oprócz znakomitego nazwiska posiadał także olbrzymią fortunę, hrabina Jarska po owdowieniu swojém znalazła się w położeniu niemal krytyczném. Mąż jéj należał do tych zawsze licznych u nas jeszcze panów, którzy zdają się wysilać swoją imaginację, przesadzać się w excentryce pomysłów i kaprysów na to tylko, aby w najkrótszym czasie roztrwonić najogromniejsze choćby mienie.

Niepoprzestając na samém utrzymywaniu blasku i przepychu arystokratycznego, ale hołdując szalonéj prawie rozrzutności, Jarski nie przypuszczał zapewne, aby dwie tak wielkie fortuny, jak jego i jego żony, słynne w całym kraju, nie były nieprzebranem, nigdy nie schnącém źródłem. Los oszczędził mu gorzkiego rozczarowania. Umarł wcześniéj, nim ostateczna ruina majątku stała się faktem, przeciw któremu cały nawet optymizm lekkomyślności okazać się musiał daremnym. Wdowie przypadło znieść całą gorycz nowéj sytuacji.

Ledwie Jarski zakończył życie, runęła w gruzy cała tak olbrzymia fortuna, jak gmach stary, pod którym popękały fundamenta. Z miljonowéj pani Jarska stała się właścicielką bardzo skromnéj fortunki. Wystawione na publiczną licytację i przedane dobra, zbogaciły całe tuziny spekulantów i rabulistów — podczas gdy wdowie została z nich bardzo mierna stosunkowo suma. Przyznać należy, że Jarska, która po raz pierwszy w życiu zniewoloną została zająć się sprawami majątkowemi, i to w chwili, kiedy sprawy te przedstawiały widok prawdziwie chaotycznego nieładu i prawdziwie opłakanego upadku — umiała znieść taką nagłą zmianę losu z niespodziewanym stoicyzmem.

Uratowawszy małą cząstkę posagowego swego majątku hrabina Jarska wyjechała z kraju, uwożąc z sobą Oktawa, który był wówczas dziesięcioletniém chłopięciem. Do wyjazdu za granicę spowodowała ją duma, która była jednym z najwybitniejszych rysów charakteru téj nieszczęśliwéj a z wielu względów niepospolitéj kobiety. Niechciała żyć w niepomyślnych stosunkach majątkowych pośród ludzi, którzy widzieli wczorajszą zaledwie świetność jéj bytu. Tém więcéj miała wstrętu do żądania pomocy od dalszych krewnych, że czując się pokrzywdzoną przez nich dawniéj jeszcze w sprawach majątkowych, toczyła z nimi zacięty proces.

Mieć za sobą tak świeże jeszcze tradycje olbrzymiéj fortuny, nie zapomnieć jeszcze o nawyknieniach do świetności i przepychu, być damą, przepełnioną poczuciem najarystokratyczniejszéj dumy, nie rozrządzać jak tylko szczupłym funduszem, mieć syna, potrzebującego odpowiedniéj rodowi swemu edukacji i toczyć proces do tego — a mimo to wszystko obejść się bez obcéj pomocy, wystarczyć wszystkim potrzebom jedynie za pomocą najskrzętniejszéj oszczędności, to było zaiste cudem, na jaki się zdobyć mogła tylko kobieta z taką siłą charakteru, z taką szlachetną wytrwałością i z takiém poświęceniem dla raz wytkniętych celów życia.

Trzy takie cele miała Jarska. Pierwszym było wychowanie i karjera Oktawa, drugim troskliwe prowadzenie procesu, w którym istotnie słuszność najniewątpliwiéj znajdowała się po jéj stronie, trzecim utrzymanie pozornego splendoru lub takiéj przynajmniéj przyzwoitéj stopy domu, do jakiéj obowiązywały ją arystokratyczne uprzedzenia i nad miarę wygórowana duma.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z poezji
Albiny Dworzakowéj-Mraczkowéj.

(Z czeskiego.)

Patrzę się...
W światło kagańca patrzę się
Tak drżące, blade, złudne,
I w jego skrach spostrzega wzrok,
Obrazy mgliste, cudne.

Dziecięce lata! — świeży ług,
Darń młodociana drży na nim,
W méj głowie sny zna tylko Bóg,
I pełno dziwów w świecie tym;

Swobodna myśl wzlatuje w dal
Jak biały obłok, ponad świat,
Znów duch do mogił tuli się,
I każdéj baśni wierzy rad.

I widzę młodość: — czerstwy duch,
Próbuje w locie skrzydła swe,
Już bada sam — nie wierzy już,
I własny świat utworzyć chce.

Choć w ciągłych walkach z sobą jest,
Choć w wątpliwościach targa moc,
Ku słońcu prawdy zwraca się
I nie chce wierzyć w kłamstwa noc.

I widzę teraz siebie tu, —
Jak wlokę żywot w pośród nędz,
Jak wkoło brzmi zwycięzki śmiech,
Jak w piersiach jęk mam zamiast tchu.

Lecz iskra co Bóg w serce mi,
Jakby relikwję włożył sam,
Nie zgasła, nie, wciąż żyje tam,
Jak Westy płomień wciąż się tli.

Jak perłę w tajnéj głębi mórz,
Jak djament w łonie ciemnych skał,
Tak ja ukrywam trwożnie ją,
Tę iskrę, którą Bóg mi dał, —
By jéj nie zoczył sprośny wzrok,
By jéj nie przyćmił ziemski brud! —

....

W kagańca światło patrzę się
W około pustka — chłód;
Srebrzyste kwiaty kreśli mróz,
Z nim wicher w okno stuka wraz,
I płomień lampy, cicho tak,
Jak niepoznane życie, zgasł.

Wł. Ordon.

Z Moich Wspomnień.

O życiu towarzyskiém w Warszawie

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Dokończenie.)

W roku 1861 — dnia 24 kwietnia — rozpisując się o stosunkach księstwa, pisze mi Maciejowski:

„...... Zwracam uwagę na to, że nasza w tem wina, że Niemcy bezczelnie utrzymują, iż jesteśmy obcymi na ziemi naszej. Przekonani inaczéj w duchu, szerzą fałsze dla otumanienia publiki, któréj my z błędu wywieść nie staramy się. Zbadałem rzecz troskliwie przez lat czterdzieści z okładem i przekonałem się o tém, że Niemcy napływowym są tak, od Rzymian zwanéj Giermanji, ze Skandynawji ludem, i że po tysiącach lat zdołali wreszcie powlec wszystko jednym werniksem (mową!) ale istoty rzeczy ukryć nie zdołali. Dotąd powierzchownie nawet uważając ich, widzimy być mięszaniną ludów różnéj narodowości, w któréj najwydatniéj wyrażone są typy dawnych Sławian. Roku zeszłego podróżowałem po Niemczech i z tamecznymi uczonymi rozprawiałem o tém. Widziałem po ich twarzach, że wypadek mych badań nie podobał się im, ale mniejsza o to: idzie tu bowiem o prawdę historyczną. Artykuł o téj prawdzie podałem do Czasu krakowskiego (z roku zeszłego 1860, Nr. 191). Potrzeba ażeby rzecz tę powtarzać jak najczęściéj.“ —

Państwo Maciejowscy wyjeżdżają niemal każdego lata do wód i za granicę, a część lata przepędzają w Mazewie pod Krośniewicami. To też, gdy do Warszawy w jesieni powrócą, na niedzielnych wieczorach zbiera się liczniejsze grono osób, by ich po podróży powitać.

Poczciwy, zacny Julian Bartoszewicz bardzo do nich był przywiązany. Kochali go też nawzajem i dotkliwie śmierć jego uczuli: jako przyjaciela — jako męża wielkiéj pracy naukowéj, wielkich zasług w kraju — i wielkiego hartu duszy. — A zabiła go praca — i walka z życiem, w poczuciu szlachetnie i wysoce pojętych obowiązków obywatela-Polaka. — A była to dziwna natura: dziwne połączenie hartu nieugiętego ze szczególną miękością uczucia i brakiem woli w drobnych rzeczach.

Na dni kilka przed wielkanocą r. 1855 przyszedł do mnie szczególniéj chmurny i kwaśny.

— Cóż jest panu? zapytałam.

— Ej, bo to!... — machnął ręką — chcą mnie na święta zabrać w Płockie, a ja nie mam ochoty. Radbym pozostał w domu, przy żonie, z dzieckiem, z państwem... Boć i pani odjedziesz, i Bóg wie kiedy tam zobaczymy się znowu!

— To pan nie jedź! Powietrze zimne, słotne, także do wyjażdżki nie zachęca wcale.

— A naturalnie! jeszcze i cierpię na rumatyzm.

— Więc pan pozostań!

— Toćże chcę koniecznie. Ale mnie nachodzą, męczą i odpoczynku nie dają.

— Zastaw się pan niezdrowiem, żoną i małym Szczęsnym.

Synkowi dał imię Szczęsny. A było to ładnę chłopię. I gdy go kto podrażnił, mówiąc: „Tyś nie Polak!“ — to aż piąstki kulił i wołał: „Polak! Polak!“

Mówiliśmy o czem inném. A gdy pan Julian odchodził, napomniałam go raz jeszcze ażeby z nami pozostał.

— Toćże jabym rad... ja chcę zostać... Ale nie wiem, jak się wywinę.

Nazajutrz spotykam panią Maciejowską.

Wie pani — zagadała — dokonaliśmy tego, że Bartoszewicz nie wyjedzie z Warszawy: powietrze fatalne, i gotówby zachorować. Żona jego była u nas i prosiła, byśmy na to wpłynęli. Mąż mój więc poszedł do nich. Nie zastał go, lecz napisał do niego: że jest potrzebą nieodzowną, ażeby nie wyjeżdżał z Warszawy.

— Och, to bardzo dobrze!

— Dziś mąż mój spotkał panią Bartoszewiczową i była wielce uradowaną: list ów jak najlepszy sprawił skutek. — „Bogu dzięki! Bogu dzięki!“ powtarzał Bartoszewicz ucieszony nim — „tem się zastawię, oprę się i nie wyjadę!“ — Sam jest za słaby i pozwoli wszystko ze sobą zrobić; a jeszcze też gdy kogo polubi, tak jak pana Gustawa Waliszewskiego, który właśnie głównie do téj wyciąga go podróży.

W niedzielę zebraliśmy się jak zwykle u państwa Maciejowskich.

— Państwa Bartoszewiczów jeszcze niema? zapytałam, oglądając się po salonie.

— Wyobraź pani sobie, że Julian jednak pojechał! zawołał pan Wacław Aleksander. — Zajechali po niego, wsadzili go do powozu i zabrali z sobą.. Żona aż się popłakała.

— Gdyby sam o sobie w téj podróży był radzić musiał, to nie byłby pojechał — ozwał się jeden z panów. — Bo kiedyś wybierał się gdzieś tam koleją żelazną pojechać, stanął szczęśliwie na dworcu. Poszedł by bilet kupić — już nieco kwaśny, że sam po niego pójść musiał. Przy kasie był ścisk wielki. Stanął na uboczu, czekał... coraz chmurniejszy. Wreszcie zniecierpliwił się ostatecznie, nacisnął czapkę na uszy i... do domu powrócił, znudzony czekaniem i zniechęcony trudem.

— I nie pojechał wcale? zapytałam.

— Nie pojechał, bo nie mógł się po bilet docisnąć, jak się tłomaczył.

Gdy powrócił po świętach i łajaliśmy go, że słowa nie dotrzymał i dał się uwieść, odrzekł:

— To cóż ja miałem począć, kiedy mnie gwałtem zabrali. Przecież nie chciałem....

Najpoczciwszy z poczciwych, z żelazną wytrwałością i nieugiętą w postawionéj raz opozycji w życiu publiczném. Niezachwiany w raz wyrzeczonéj zasadzie. Upornie stający przy tém, co raz wyrzekł w któréj z prac swoich — gdyby nawet i przekonania był nabrał innego, to stale przy pierwszém obstawał zdaniu. Natomiast w życiu domowém i kółku prywatném, był słabym i podległym jak dziecko. — Tkliwego serca, przyjacielem być umiał i w smutku każdym szczere i prawdziwe niósł współczucie. Prawdę ukochał i przewodniczyła mu wszędzie i zawsze.

Na niedzielnych wieczorach u państwa Maciejowskich brak obecności jego zapewne dał uczuć się bardzo — tak tam wszyscy nawykli do jego poczciwéj twarzy.

W Wielkopolskim Tygodniku kończą się na tém **Moje wspomnienia o życiu towarzyskiém w Warszawie**, a wyjdą niebawem w całości obszernéj, wydane przez p. J. K. Żupańskiego w Poznaniu.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Mieliśmy słuszność nie dzieląc splenicznych zapatrywań się naszego korespondenta z prowincji. — Wycieczka do Lwowa zyskuje sobie coraz więcéj zwolenników a nawet zwolenniczek i zdaje się, że ilość spieszących na zjazd urośnie do dosyć znacznéj liczby. Tak w naszém mieście. Na prowincji, jak słyszymy, nie gorzéj. — Szlachetne i gościnne wysilenia Lwowian nie będą więc stracone, zapowiedziana uroczystość zyska na świetności a pamiątkowy kopiec Unii przyjmie i grudki naszéj staréj Wielkopolskiéj ziemi w szerokie swoje łono. Przygotowania do podróży u nas idą bardzo spiesznie. Zajmują się niemi pp. J. K. Żupański, Callier, Dr. Jarnatowski, A. Krzyżanowski, Tułodziecki, Bogdański, Chmara, Żurawski i otwierają u siebie listy dla pragnących się zapisać do drogi.

* * *

Tymczasem w pośród téj krzątaniny, jakby z soboty na niedzielę, inne rzeczy idą powszednim trybem. Kursa gorzelane wkrótce zamkną swoją pożyteczną, trzymiesięczną działalność. Szkoła Żabikowska korzystając z ferji, porządkuje się — dopełnia — systematyzuje muzea i pracownię chemiczną — wzywając ludzi dbałych o dobro i rozwój młodéj instytucji o zbogacenie i rozszerzenie muzeum i laboratorji stósownemi ofiarami. Delegaci komitetu teatralnego powoli ale z dostatecznem powodzeniem powiększają zebrane już fundusze na budowę teatru.

Pod tym względem jednakże rzuca się w oczy różnica ofiarności Zachodniéj i Wschodniéj Galicji. — Pan Teodor Żychliński ogłasza ilość przez siebie zebranéj sumy na 2,000 złr., p. Władysław Bełza ledwo na 200. Stosunek ten przecież wyrównać się może, — szczególniéj przy nadchodzącym zjeździe we Lwowie, który zgromadziwszy tyle osób w jednem miejscu, ożywionych uczu-

ciem patrjotycznem, ułatwi mozolną a tak ważną misję panu Bełzie.

* * *

Stuletnia rocznica zbliżająca się nie mogła nie wyzwać złośliwej demonstracji ze strony naszych przyjaciół. — Pan Winter, burmistrz miasta Gdańska, proponuje swoim rodakom jubilowanie z powodu nadchodzącej rocznicy stuletniej — Wiedervereinigung Prus Zachodnich z Niemcami.

Jest to jak gdyby chętka bluźnienia naszemu smutnemu świętu — przez radosne obchodzenie jego przyczyny — pierwszego rozbioru Polski!

Brutalne — Vae victis!... znajduje nowego tłómacza.

Drobnostką jednak wydaje się niedelikatność serca w cudzoziemcu urodzonym i wychowanym w uprzedzeniach do Polaków i Polski — obok postępku jednego z ziomków naszych na Szląsku — Polaka — do tego jeszcze w sukience duchownéj księdza dr. Prutka.

Wiedeńska „Neue freie Presse“ szląska „Silesia“ zajmują się tym faktem i nadały mu dosyć smutnego rozgłosu, ażebyśmy i my o nim wspomnieć mieli prawo.

Chcąc wyjaśnić rzecz całą, trzeba sięgnąć do dna rzeczy. —

W Cieszynie utworzył się Komitet, który zwołał Zgromadzenie ludowe na dzień 30 Lipca b. r. do Ropicy — a to w celu poparcia polityki obecnego ministerstwa hr. Hohenwarta, pragnącego przeprowadzić ugodę między ludami Austrji, — również dla poparcia równouprawnienia narodowego, i wyrażenia najważniejszych dziś życzeń ludu Szląskiego.

Komitet ten, zyskawszy pozwolenie rządowe — zwrócił się do znanych sobie ludzi z działalności polskiéj z prośbą o zapomogę dla pokrycia kosztów ludowego zebrania i o pomoc w urządzeniu go. Pomiędzy proszonemi znajdował się i ksiądz dr. Prutek.

Ksiądz Jerzy Prutek od przełamania absolutyzmu w 1848 należał do najgorliwszych pracowników polskich na Szląsku. — Opiekun i prezes Czytelni Polskiéj w Cieszynie, — następnie poseł do sejmu gorącym patrjotyzmem się odznaczał. Wkrótce jednak wszedł na pole religijno — kosmopolityczne. — na chwilę, za napomnieniem biskupa Wrocławskiego zawahał się i zdawało się, że wróci na dawną drogę — jednakże stało się inaczéj — i dzisiaj służy Sile — dla interesów kościoła. —

Na list Cieszyńskiego Komitetu ksiądz dr. Prutek odpowiedział pomnikową epistołą — z któréj najważniejsze ustępy dobrym polakom ku pamięci dajemy.

„Na cóż tedy komitet Polski w Cieszynie? Aby zazwał lud Polski do Cieszyna, a uczył pracowitych ludzi po krainie się smykać, czas y piniądze tracić, a Niemców nienawidzieć, którzy dotąd o ogólne ludu wykształcenie tak mądrze się starali, że pokolenia sławiańskie, w Austrji i Prusach między Niemcami żyjące, między sławianami w cywilizacji przedczą? Niemców nienawidzieć, którzy dobroczynną Austrję w kupie trzymają? Niemców nienawidzieć, którym Pan Bóg tak sprzyja, iż im tryumfalne zwycięztwo udzielił nad Francuzami, którzy ich niesprawiedliwie do wojny wezwali? Komu Pan Bóg, temu wszyscy święci; mamy tedy Niemcom sprzyjać, żadnéj zbytecznéj przeszkody im nie czynić.

Chcecie Panowie, lud polski przeciw swym księdzom buntować, że matriki po niemiecku prowadzą, że listy z nich wyciągnione, w niemieckim języku piszą? Dobrze mają; albowiem się rządzą według przykładu świętych Apostołów. którzy, chociaż byli narodowości Żydowskiéj, i chociaż język hebrejski nie był podlejszy niż Polski, Biblię nowego testamentu nie pisali w Hebrejskim, ale w Greckim języku, ponieważ Grecki w ów czas był język kultury, tak jak teraz język Niemiecki jest język kultury, przez który i Panowie Członkowie Komitetu Polskiego w Cieszynie, się wykształcili; przeto Niemcom w utrzymaniu Austrji by nie mieli niewdzięcznie przeszkadzać. Apostołowie nie ubostwiali narodowości Żydowskiéj, dla tego też księża nie śmią ubostwiać narodowości Sławiańskiéj; a jako Apostołowie używali języka greckiego, tak księża mają używać niemieckiego, przez który pokolenie ludzkie więcéj kultury a pożytku zyskało i zyska, niż przez Polski.

Pięknie — pozytywnie i energicznie powiedziane.

Idąc tak daléj, ksiądz dr. Jerzy Prutek doczeka się niezawodnie honoru ujrzenia bjografii swojéj w szpaltach którego z pism kulturträgerskich. —

Władysław Ordon.

Korespondencje: Z Torunia i ze Lwowa.

Toruń, 24 lipca.

Po raz pierwszy spotykają się czytelnicy Tygodnika Wielkopolskiego z korespondencją z Torunia. Przyjęty to dość powszechnie zwyczaj, że korespondencja, zwłaszcza pierwsza, opatrzona pewnym wstępem. I ja więc powinienem zrobić wstęp, ale ponieważ w żaden sposób nie mógłbym pominąć w nim pewnych mężów poznańskich, o których niebezpiecznie potrącać, wolę wyłamać się z pod reguł zwyczaju i przejść zaraz do rzeczy.

Nasi kulturtregerzy tak zasmakowali w patryotycznych festynach, że trudno im teraz obyć się bez nich. Bohater z pod Sedanu, który aranżował te festyny, nie ma jakoś widoków wstąpienia znów na wysoki tron francuski, choć ks. Bismarck, w szczeréj chęci przyjacielskiéj przysługi i ze względu na podagrę jego, znacznie zniżył tron ten przez aneksję Alzacji i Lotaryngji; nie ma więc bohater ten widoków powtórzenia niemiecko-patrjotycznych festynów na swój własny i narodu francuskiego koszt. Niemcy pozostawieni dziś samym sobie; nie mając Sedanów, Metzów, Strasburgów i t. d., zniewoleni są wymyślać nowe do festynów sposobności. Kto zna bujną fantazję niemiecką, ani na chwilę nie wątpiłby, że sposobność taką zawsze wynajdą; ale niejeden może nie uwierzyłby, że dla wynalezienia jéj odstąpią Niemcy od zasady, którą się chlubią, t. j. od zasady objektywnego wykładu historji. A przecież tak się stało. Prosząc, byście mię posłuchali, wyznać winienem, że przy braku zdolności pisarskich, za pomocą którym mógłbym jedną i tę samą myśl w rozmaite przybrać sukienki, powtarzam tu mniéj więcéj słowa, które na innem wypowiedziałem już miejscu.

Otoż już przed kilku tygodniami wystąpił jakiś Niemiec z djecezji Warmińskiéj z propozycją uroczystego obchodzenia stuletniego jubileuszu, dokonanéj za czasów ks.-bis. Krasickiego aneksji Ziemi Warmińskiéj do państwa pruskiego. Gdyby proponent jubileuszu zechciał był w rozprawie rodaka swego, zamieszczonéj w jednym z wydawanych obecnie roczników warmińskiego niemieckiego tow. historycznego poinformować się, z jakim żalem opuszczenia rządów polskich poddawała się kapituła i niemiecka ludność warmińska berła pruskiemu, — mało niezawodnie uczułby chęci jubilowania z powodu rzeczonéj aneksji. Nie pisałem Wam o tém czasu swego, bo propozycja ta ogłoszoną była w jednem z najmniejszych pisemek prowincjonalnych; sądziłem więc, że nie przyjmie się, i że niewarto o tém wspominać. Jakkolwiekbądź szanowny proponent nie popadł przynajmniéj w błędy

historyczne, co natomiast w wysokim stopniu udało się p. Winterowi, pierwszemu burmistrzowi sławetnego miasta Gdańska, który w wydanéj z téj saméj saméj okoliczności odezwie mówi o stuletniéj uroczystości ponownego zjednoczenia (Wiedervereinigung) Prus Zachodnich z państwem pruskiém. Wielką zaiste p. Winter odałby badaniom historycznym przysługę, gdyby zechciał wykazać, kiedy to Prusy Zachodnie, a raczéj Królewskie należały do państwa pruskiego, które nie istniało wcale w owym czasie, gdy prowincja ta dobrowolną zawarła z koroną polską unję, by wydobyć się z pod jarzma zakonu Krzyżackiego; nie istniało jeszcze wówczas nawet, gdy na pamiątkę unji téj obchodzono uroczystości wiekowe i bito medale w tymże Gdańsku, którego p. Winter obecnie jest pierwszym burmistrzem.

Jeżeli trzymać się będziemy źródeł i dowodów historycznych, jakie dotychczas znamy, to o Wiedervereinigung Prus Królewskich (Zachodnich) z państwem pruskiém mowy być nie może, może tylko być mowa o tém, co w języku dyplomatycznym zowią dziś aneksją.

Takim sposobem i u nas wprowadza się w życie przyjęta co do Alzacji i Lotaryngji maksyma, że mieszkańcy prowincji tych powinni przeuczyć się historji (Geschichte umlernen). —

Wszechwładny dzierżyciel knuta, padi-szach północy, jak go, jeśli się nie mylę, nazywał Wacław Rzewuski w swych podróżach na Wschodzie, car Alexander przejeżdżać będzie w środę 26 b. m. przez nasze miasto w podróży swéj do Warszawy, gdzie już znowu spodziewają się z niewyczerpanego zdroju łask carskich amnestji. Zabawi on tu tylko około 15 minut po dworcu, który dla publiczności będzie nieprzystępny i obstawiony strażą. Przypomina to mimowolnie przysłowie, że na . . . . czapka gore. —

Z dniem 1 lipca zaszły w redakcji Gazety Toruńskiéj niektóre zmiany. Wystąpił z niéj p. Ludwik Jagielski, znany jako dawniejszy redaktor Dziennika Poznańskiego; natomiast grono redakcyjne pomnożyło się. Gazeta poświęciła panu Jagielskiemu w uznaniu pracy jego kilku słów pożegnalnych. Programem Gazety, jak dotąd, tak i nadal pozostaje „dobrze zrozumiany polityczny interes polski.“

J. Gl.

Lwów, dn. 25 lipca 1871.

Już półtora miesiąca do was nie pisałem: tymczasem zakończył się czerwiec, w ogóle dosyć ożywiony występami dwojga artystów warszawskich, a z lipcem i letnimi upałami rozpoczęła się „saison morte“ w naszém mieście.

W ostatniéj korespondencji pisałem o trzech pierwszych występach pani Modrzejewskiéj; późniéj ukazała nam się ona jeszcze w sześciu nowych rolach, a następnie w Hamlecie i Zbójcach wystąpiła wspólnie z p. Janem Królikowskim.

W najświetniejszym blasku ukazał nam się talent pani M. w roli Julji. Prawdziwy artyzm nigdy nie jest uniwersalnym, zawsze mieć musi w całym zakresie swéj sztuki pewien specjalny wydział, który jest dla niego właściwym żywiołem; pani M. jest kochanką-bohaterką, a miłość jako uczucie wzniosłe i uszlachetniające, jest właściwém polem działania dla jéj artyzmu. Nie dziw więc, że w owéj tragedji miłości, w której to uczucie najwyższą apoteozę osięga, artystka rozwinąć mogła w największéj potędze wszelkie skarby swego talentu. Romeo kochał już, zanim poznał Julją, miłość ta zatém nie jest pierwszém uczuciem, pierś jego owładającém; Julja pała pierwszą miłością, która rozżarzywszy się w jéj sercu, z dziewczęcia czyni ją tragiczną bohaterką. W grze pani M. miłość była rzeczywiście potężnym, jedynym czynnikiem, który działał w całéj postaci Julji; wszystkie drobniejsze jéj rysy zostawały w związku z tym głównym czynnikiem, odnosząc się do niego, jak skutek do przyczyny; miłość była główną barwą, nadającą koloryt każdemu ustępowi téj roli, — barwa ta mieniła się tylko, stósownie do okoliczności, jakie każdemu ustępowi nadawały szczególną cechę. Ztąd punktem kulminacyjnym gry pani M. była scena balkonowa, w której sama miłość w całéj pełni występuje; w scenie, w której Julja dowiaduje się, iż Romeo zabił Tybalta, w pierwszéj chwili złorzeczy kochankowi, — i ten trudny ustęp odniosła pani M. do głównego źródła całéj roli; złorzeczenia te nie wychodzą z ust krewnéj Tybalta, ale z ust kochanki Romea, który swym czynem ściąga na się prześladowania i uniemożliwia wszelkie dalsze z Julją stosunki. W scenie pożegnania z Romeem, miłość wzrasta w Julji do téj potęgi, że opanowuje ją zupełnie, że każe jéj zapomnieć o niebezpieczeństwie, jakie Romeowi grozi, że przytłumia w niéj nawet na chwilę troskliwość o życie kochanka. W dalszych scenach miłość powoduje nieznającą kłamstwa dziewicę do udawania przed rodzicami, — nie słabnie pod naciskiem ich srogiego gniewu i dosięga najwyższego szczytu: Julja zdobywa się na krok rozpaczliwy, heroiczny, usłuchawszy rady O. Laurentego Pani M. uczyniła z roli Julji prawdziwe uosobienie miłości, nie popadła jednak w błąd tak łatwy w téj roli: miłość Julji nie była eteryczną, nadziemską, — była ona prawdziwie ludzkiém, lecz idealnie piękném i uszlachetniającém uczuciem. Tutaj zupełną słuszność należy oddać artykułowi „Gaz. Nar.“, oceniającemu ogólnie artyzm pani M., gdzie, jako jedną z głównych jego cech, zauważano harmonijne połączenie realizmu z idealizmem.

W wznowioném przedstawieniu Don Karlosa objęła pani M. rolę ks. Eboli. Rola ta leży właściwie po za zakresem istotnego żywiołu pani M. Występuje ona właściwie w dwóch scenach; scena z Don Karlosem dzieli się na dwie połowy: w piérwszéj miłość namiętna skłania księżniczkę do ubliżającego godności kobiety przywabiania kochanka, a więc nie jest owém czystém, wzniosłém uczuciem, uszlachetniającém, jak w roli Julji; że jednak przecież tu miłość występuje w całéj potędze, pani M. wywiązała się tu z zadania tak, że rzeczywiście nic do życzenia nie pozostawało. W drugiéj połowie téj sceny zwiedziona miłość czyni z ks. Eboli brzydką intrygantkę; tutaj gra znakomitéj artystki nie mogła podołać zadaniu, nie wchodzącemu w zakres jéj specjalności. W swoim żywiole znalazła się znów pani M. w scenie z królową, gdzie, jako skruszona i żałująca swych intryg niewiasta, rozwinęła szczególnie znakomicie cieniowaną grę mimiki i ruchów. Dwie inne role (panna de Belle-Isle Dumasa i Halszka z Ostroga Szujskiego) były, w całém tego słowa znaczeniu, niewdzięczne. Pierwsza rola jest dosyć blada, w roli Halszki niektóre sceny były efektowne, a pani M porywała w nich grą swoją; niemożliwém było jednak artystce stworzyć całość kreacji w roli, w której jest tyle niekonsekwencji.

Oprócz tych ról tragicznych, ukazała nam się pani M. we dwóch komedjach: Panna mężatka Korzeniowskiego i Donna Diana Moreta. Niezbyt trudna rola w pierwszéj sztuce była dla artystki niejako wypoczynkiem; przy należytém pojęciu roli, swoboda i naturalność zajaśniały tu w takim blasku, że w istocie niepodobna artystce zrobić żadnéj uwagi. Rola Donny Diany była nierównie trudniejszą. Dziewica dumna i pogardzająca hołdami zalotników, poznaje mężczyznę, który fortelem usiłuje zdobyć jéj serce, udając zupełnie obojętnego. To ją obraża, postanawia doprowadzić do tego, aby obojętny Don Cezar musiał się w niéj rozkochać. Zrazu udaje uczucie, niepostrzeżenie jednak wpada sama w sidła miłości i pozostaje w końcu pokonaną. Rola dzieli się zatém na trzy części: w pierwszéj, stósunkowo najłatwiejszéj, jest Donna Diana

hardą, dziwną, zimną dziewicą; w drugiéj fazie znakomicie wycieniowała pani M. bezwiednie budzące się uczucie, spętane poniekąd dotychczasowém usposobieniem królewny i ustawicznie wydobywające się z tych oków; w każdém słowie niemal spostrzegać się dawało, jak harda niedawno dziewica nie wie nic o budzącéj się miłości, jéj się zdaje, że stara się tylko o dokonanie zamysłu, a tymczasem owłada nią nieznane dotychczas uczucie. W trzeciéj części roli już zdaje sobie sama zeń sprawę, już widzi się pokonaną, hardość i duma ustępują miłości, która wzrasta do takiéj potęgi, że dziewica wszystkie siły wytęża, poniża się nawet wyznaniem przed swym powiernikiem, nie wstydzi się swéj klęski a pragnie tylko wzajemności Don Cezara Ta część roli jest najdramatyczniejszą, występuje tu niepewność, żal, chwilami nawet cień rozpaczy. Cały ten tok psychicznego rozwoju uczucia był wystudjowany znakomicie, — szczególnie w genezie miłości wszystkie najdrobniejsze rysy były jak najstaranniéj, z oględną konsekwencją, z wszelką prawdą psychologiczną wystudjowane.

Zaledwie z entuzjazmem a zarazem z żalem wyszliśmy z ostatniego występu pani M., kiedy w gmachu teatralnym za kratkami zajaśniał afisz, obwieszczający pierwszy występ p. Jana Królikowskiego w Kupcu weneckim. Shylok jest jedną z najwięcéj wystudjowanych ról znakomitego artysty. P. Królikowski uwydatnił w grze swojéj wściekłą nienawiść do Chrześcijan, jako główną cechę charakteru średniowiecznego żyda. Namiętność ta pożerająca dosięga najwyższego szczytu w ostatnim akcie, kiedy rozbestwiony lichwiarz nóż ostrzy, aby nim wykroić serce znienawidzonego Antonia. Znakomicie wystudjowane było również umotywowanie téj namiętności w akcie pierwszym, gdzie żyd stary opowiada o obelgach, jakie od chrześcijan znosił na Rialto. Drugą namiętnością Shyloka jest chciwość, która wprawdzie ustępuje przed ową krwiożerczą zawiścią, ale nie niknie w sercu lichwiarza w obec żalu za utraconą córką; scena z Tubalem, w któréj Shylok to za córką, którą mu chrześcijanin porwał, to za klejnotami, które wraz z nią utracił, rozpacza, była najświetniejszą w całéj świetnéj grze p. Królikowskiego.

Po Kupcu weneckim nastąpiły dwa wspólne występy p. Kr. i pani M. Jako Hamlet był p. Kr. o wiele niższym od Shyloka. Tam rzeczywiście trzeba go było tylko podziwiać, — co do gry jego w Hamlecie, niepodobna się zgodzić z recenzentem „Gaz. Lit.“, która pisze w Nr. 6, że z całém uwielbieniem grę jego w téj roli podnosi, że żadnego zarzutu uczynić nie może. Hamlet jest niezaprzeczenie rolą niesłychanie trudną, ażeby ją należycie pojąć i wykonać, trzeba być rzeczywiście olbrzymem-artystą. Nie dziw wprawdzie, że artysta z tak obfitymi zasobami talentu, jak pan Kr., w niejednéj scenie olśniewał całém bogactwem tragizmu. Mimo to rola Hamleta nie była jednolitą, harmonijną kreacją, a wiele porozrzucanych w niéj brylantów artyzmu nie składało artystycznéj całości, — słowem nie można się było dopatrzeć głównéj cechy charakteru, z któréjby cała rola wypływała. Również był p. Kr. w niektórych scenach może zanadto energicznym, co z istotą téj roli bynajmniéj nie jest w zgodzie.

Franciszek Moor w Zbójcach jest najgłówniejszą rolą p. Kr. — Rolę tę widocznie wystudjował tak sumiennie, że stworzył w niéj prawdziwie znakomitą kreację, dziecię, którém się artyzm jego istotnie może szczycić. Główny rys tego charakteru, szatańskie, nikczemne samolubstwo, prowadzące do najohydniejszych zbrodni, występuje wybitnie w każdéj scenie, jako główny motyw wszystkich czynów zbrodniarza. Zdumiewającą w najwyższym stopniu była gra p. Kr. w scenie nocnéj, kiedy wyrzuty sumienia prześladują zbrodniarza; modlitwa w obec grożącego niebezpieczeństwa, była szczytem artystycznéj mimiki. Kontrastem podnoszącym jeszcze bardziéj czarną ohydność tego charakteru jest Amelja. Pani M. była tu w swoim właściwym żywiole. Szlachetność jéj, wierna i stała miłość ku Karolowi, opromieniona idealném rozmarzeniem dziewicy, podnosiła i uspokajała umysł, rozdrażniony wstrząsającą grą p. Kr. Przedewszystkiém podnieść należy charakterystyczną ogrodową scenę, w któréj oboje artystów mogliśmy razem podziwiać. Zwycięstwo słabéj, ale szlachetnéj i odważnéj dziewicy nad brutalna siłą tchórzliwego lubieżnika wywołało głębokie, uszlachetniające wrażenie.

Ostatni raz wystąpił p. Kr. w tytułowéj roli w Montjoye Oktawiusza Feuillet. Znakomity gość nasz utworzył w téj roli typ bogatego bankiera, w którym egoizm nie wyrugował wprawdzie, jak we Franciszku, ale uśpił przynajmniéj wszelkie szlachetniejsze uczucia. W téj pierwszéj części roli wszelkie uznanie należy się artyście za umiarkowanie. Montjoye nie był krzykaczem cynicznym, ale z każdego słowa spokojnie wypowiedzianego wiał chłód zgniłego egoizmu. W moralném nieszczęściu, w jakie go wtrąca stosunek jego do rodziny i wykrycie dawnéj jego zbrodni, hardy ten charakter zaczyna się zmieniać, uczucia dopominają się o swe prawa, a szydzący z nich poprzednio bankier pokonać ich nie może; w ostatnim akcie jest już Montjoye zupełnie innym, poniża się i rezygnuje z majątku, aby odzyskać tylko spokój duszy na łonie rodziny, do któréj powraca. Ten przechód psychologiczny oddał p. Kr. znakomicie, każdy dźwięk głosu, każdy ruch był wystudjowany i motywował tę przemianę w charakterze bankiera. — Tém przedstawieniem skończyły się święta Sztuki, które rozpoczął był występ pani Modrzejewskiéj w roli Adryanny; pozostawiły one w pamięci każdego widza niezatarte wspomnienie, nie wątpię, że dobroczynnie oddziałały na estetyczne wykształcenie znacznéj części lwowskiéj publiczności, — niejeden i pod względem etycznym wiele z nich skorzystał, — słowem przekonały one i niewiernych, czém może być teatr jako instytucja prawdziwie artystyczna, a nie prywatne przedsiębiorstwo spekulanta.

(Dokończenie nastąpi.)

TEORJE POLITYCZNE XVI WIEKU

skreślił

Dr. W. M. Olendzki.

Wstęp.

Uwagi ogólne.

(Ciąg dalszy.)

§. VIII.

Wiek XVI wyprowadza na pole sporów politycznych nowe zupełnie kwestje. Stronami wojującemi nie jest już kościół i państwo, lecz w łonie tego ostatniego powstałe stronnictwa: zasady monarchicznéj i zwierzchności ludu. Teologja przestała być treścią polityki, tak

samo, jak jednostronnie uprawiana zasada chrześcijańskiego obowiązku, nie opanowuje już systemu prawnego, natomiast jednostronne oddanie się zasadzie wszechuprawnienia sprowadza drugą ostateczność, równie jak tamta szkodliwą wyrobieniu się zdrowych pojęć o całości ustroju prawa. Teologja przestała być treścią polityki, powiedzieliśmy, kwestje jednak religijne natomiast owładnęły przekonaniami, wychowywały idee polityczne ludzi, ci zaś, rozdzieliwszy się stósownie do wyznawanych prawd na partje religijne, rządzili życiem polityczném i tworzyli częstokroć najpotworniejsze teorje o państwie.

Pośród bogactwa kwestji, poruszenie których genjalną oryginalność XVI w. cechuje, znajdujemy przeczucie tych wszystkich prawd, jakie dopiero po ciężkich pracach i zawodach 200 lat, zrozumiane i ożywotnione zostały. Doprowadzić religję do jéj źródła — sumienia; poddać władzę słuszności a przesąd przekonaniu; obudzić w ludzie iskrę samowiedzy i poczucie przyrodzonych mu praw; zbadać naturę państwa i określić głowie jego właściwe jéj stanowisko — oto jest treść programu prac przyszłości jaki wiek XVI zakreśla, z jakiego jednak nic do skutku nie doprowadza, a to nietylko dla tego, iż partje całe i jednostki znakomite poświęceniem, siłą rozumu i poczuciem sprawiedliwości, opanowane były przeważnie namiętnościami religijnych sporów, ale też przedewszystkiém dla tego, iż między skrajnie wojującemi partjami t. j. partją królewską i ludową żadnego nie było łącznika. Władza zwierzchnia wyszedłszy zwycięzko z walk z kościołem, żelazną dłonią chwyciła za berło i, niepomna na ucisk, jakiego sama doznawała, sama uciskać zaczęła, stronnictwo zaś ludu ze swéj strony, pamiętne tradycji przeszłości, popchnięte naprzód reformacją, walcząc o wolność sumienia, która ze swéj strony jest tylko jedną częścią wszelkich innych wolności, posiadać je zapragnęło. Walka powstała między obrońcami praw ludu a władzą zwierzchnią, bez elementu moderacyjnego w każdym razie tylko tyranją zakończyć się mogła, arystokracja bowiem wówczas już częścią upadła, częścią zaś stawszy się sama posiadaczem praw zwierzchnich, łącznikiem między monarchą i ludem być nie mogła. Tak tedy trzy główne zasady powzięte w XVI w., — t. j. zasada wolności ducha ludzkiego od zewnętrznego gwałtu, etykiety i czczéj formy kościoła, zasada wolności politycznéj i nakoniec wolności socjalnéj i osobistéj, — dla wyżéj przytoczonych powodów rozwiązane być nie mogły. Pierwsza z nich, zrodzona w szczepie germańskim, reprezentowana przez reformacją, trafiła na dość przyjazne warunki i przynajmniéj w części po 100-letnich mordach przeprowadzoną została, druga, zrodzona w szczepie romańskim i reprezentowana w pamfletach i kilku poważnych dziełach literatury politycznéj XVI w. — którą właśnie zajmować się będziemy — w atentatach i tysiącznych zaburzeniach, trzy wieki prowadzi śmiertelną, ciągle odnawiającą się walkę i dotąd jeszcze nie wszędzie i nie zupełnie urzeczywistnić się zdołała, trzecia nakoniec, serdeczne dziecię całéj ludzkości, reprezentowana w XVI w. przez tak zwaną „wojnę chłopską“, dla wygórowanych zakresów i formalnego objawu upaść musiała na tak długo, aż obrońcami jéj będą nie Utopiści, lecz rozum i praca.

§. IX.

Czynna energja ducha XVI w. dawała inicjatywę w wielu bardzo kierunkach wiedzy spekulatywnéj. Znajdujemy tam wielkich Sceptyków i Moralistów, jak np.: Melanchton, Erazm, Reuchlin, Rabelais, Montaigne, Charron, Hooker, Jevell, Piotr Ramus (La Ramée), jak niemniéj twórców filozofji prawa, dających pierwsze podstawy nauki któréj Hugo Grotius (Huig de Groot) dał wyraźniejszy i bardziéj specjalny kierunek[1]) do takich między wielu innemi zaliczamy: Oldendorpa (Elementaris introductio juris nat. gent. et civ. — 1539), Hemminga (De lege nat. meth. apodict. — 1562), Winklera (Princ. jur.), Gentilisa (De jure maris, belli et de legationibus), Ulricha Zasiusa i Garzia d'Ecrilla (komentarze 1515), Andrzeja Alciati, Antoniego Augustino (Emendationes jur. civ. 1544) i wielu innych[2]).

Zamiarem naszym nie jest bynajmniéj traktowanie całości zaciekań się umysłowych XVI w lecz tylko zestawienie idei politycznych, jakie na wulkanicznym gruncie wieku tego wyrosły i dały początek wyrobieniu tego stanowiska, na jakiém stoi dzisiejsza nauka polityczna.

Cała literatura polityczna XVI w. daje się podzielić na trzy części: 1° Teorje reformatorów i pamfleta polityczne, będące wyrazem stronnictwa protestanckiego; 2° Teorje i pamfleta partji katolickiéj, i 3° Pisma i teorje partji polityków umiarkowanych, stojących na stanowisku filozoficznóm i starających się o pojednanie partji skrajnych. Cała ta literatura o tyle jest ważną, iż wyrosła ze stosunków jakie spowodowały bezwzględne rządy Tudorów, Walezych i Habsburgów — i że, będąc rzeczywistym zawiązkiem całéj nauki o państwie, nie doczekała się nigdzie osobnego uwzględnienia, na które bezwątpienia zasługuje. (Ciąg dalszy nastąpi)

[1]) Niesłusznie jest przyznawać Grotiusowi twórczość pierwotną prawa międzynarodowego i fil. prawa, zasługą jego jest tylko usystematyzowanie i danie kierunku. Patrz: Mittermayer — Zeitschrift t. 2, str. 343. — Isambert — Tableau des progrès du droit public, str. 118: „Grotius n'était qu'un savant, et un esprit assez mediocre.“

[2]) Patrz dla detali: Kaltenborn v. Strachau: Die Vorlaüfer des Hugo Grotius: Hallam, Hist. de la Lit. en Europe, t. I. p. 6. Eichhorn, Allg. Gesch. der Cultur u. Lit. t. VI. p, 2 0—226. Andrès t. XVIII, p. 236 i. d. — Ideje ekonomiczne XVI w. poznać można z ówczesnego dzieła Fromenteau „le secret des finances“ i mów kanclerza René de Biragues, następcy L'Hôpitala.

Szkice z podróży w Tatry

przez

Walerego Eljasza.

(Dalszy ciąg).

Giewont i Czerwone Wierchy.

W grupie gór, u których stóp legło Zakopane, sterczy pyszna olbrzymia skała, wyróżniająca się od wszystkich wierchów swoim kształtem tak oryginalnym, iż nikt jéj raz widząc zapomnieć nie może; miano jéj Giewont. Ulubieniec to poetów, artystów i w ogóle gości Zakopiańskich, wzniósł się jak wódz tatrzańskich turni, od północy stromy, jak wieża, grzbiet jego, jak w koronkę dzierzgany, a w szczycie wyłom, szczerba olbrzymia, która go dzieli na dwa niedostępne wierzchołki. Dawniéj na zachodni szczyt Giewontu wchodzono, nim wpływ czasu nie wygładził turni, tak, iż już nie można myśleć o wydrapieniu się na niego, wędrówki zaś na wschodni szczyt o mało nie przypłacił życiem X. J. Stolarczyk, proboszcz w Zakopanem. Siedząc jak na siodle, po grzbiecie turni posuwał się granią od wschodu naprzód, napotykając szczeliny. Przebywszy taką jedną, którą ze wsi widać w kształcie małéj szczerbki, znalazł się w miejscu, zkąd naprzód, ani w tył ruszyć daléj nie mógł, wisząc nad przepaściami z dwóch stron. Z potarganą odzieżą, po-

krwawiony na ciele zawisł X. St. na wysokości koło 5900 stóp z małą nadzieją ocalenia życia. Nie pozostało mu już nic innego, jak krzyczeć, co sił starczy, aby go usłyszał jaki juhas szczęśliwym zdarzeniem z owcami w te strony zagnany, i pomocy użyczył. Tym razem szczęście zabłąkanemu posłużyło. Juhasi posłyszeli głos, przybiegli na ratunek i z pomocą liny wydobyli z matni swego proboszcza. Szczyt więc najwyższy Giewontu (5959') pozostał dziewiczym, nikt już potem na niego się nie wdrapał, a zresztą prawdę mówiąc, niema tam po co się spinać, skoro sąsiednie mu Wierchy Czerwone wysokością go przenoszą, a w drodze na nie karku nie trzeba łamać. Sławę swoją zawdzięcia Giewont kształtowi swemu i szczęśliwemu położeniu; dla Zakopanego tworzy on tło majestatyczne, a w owéj szczerbie, dzielącéj jego wierzchołki, mają zegar górale, bo skoro słońce przez nią rzuci promień w dolinę Strażysk, środek wtedy dnia, południe. Czarowna dolina Strążysk wiedzie z Zakopanego wprost pod jego stopy, które zalega śnieg wieczny, ale tędy na Giewont ani myśléć nie można o wyjściu, bo ściana jakby pionowa, ztąd téj góry nazwę wywodzą jedni, co z niemieckiego zwykli wywodzić wszystko, od Gehe Wand, stroma ściana; drudzy od nazwiska rodziny góralskiéj, Giewontów, zapewne niegdyś jéj właścicieli, bo w Tatrach nazwy gór pochodzą od właścicieli, lub nazwiska właścicieli od posiadłości, nowe jednak przypuszczenie w tym względzie, o ile mnie się zdaje najwięcéj ma za sobą prawdopodobieństwa. Dr. Jan Radwański, z zamiłowaniem oddający się lingwistyce, śledząc wyrazu staropolskiego na wyrażenie prostopadłości, wyraznie ukutego dla użytku naukowego, napotkał u ludu w górach w tem znaczeniu wyraz giew, gwy, giewy, giewa, prostopadły, spadzisty, co nam jasno pochodzenie nazwy Giewontu rozwiązuje.

Z poza Giewontu od zachodu widać połogą, trawą porosłą górę, ze stromo ściętemi skałami od dołu, jest to grupa wierchów Czerwonych, ztąd dla oka jedną tworzących całość, a na ich tle rysuje się szczerbaty, skalisty Giewoncik lub mały Giewont (5245') Patrząc z Zakopanego trudno pojąć, że podróżnemu gdy stanie na szczycie Czerwonego Wierchu zniknie gdzieś pod stopami ów dumnie sterczący Giewont; najbliższy mu bowiem Małołączniak przenosi go o 744 stóp. wied.

Szczęśliwe położenie Czerwonych Wierchów względem innych gór i droga na nie, nie połączona z żadnemi niebezpieczeństwami, jest powodem, że je najwięcéj goście zwiedzają. Nazwa ich pochodzi od czerwonawéj barwy wysokiéj trawy, która porasta cały grzbiet Czerwonych Wierchów. Szczytów w téj grupie jest 7, z tych środkowy najwyższy, Krzesanica 6768' potem Małołączniak 6703'. Upłaz 6475', Kopa lub Wierch Kondracki 6337', Ciemniak 6658' Ciemniak zachodni 6561' i Rzędy (dotąd nie mierzone). A że cała ta grupa gór jest odosobniona od rdzenia Tatr, od najwyższych i najdzikszych szczytów, tem więc pożądańsze posiada warunki, bo widok z nich niczem nie zasłoniony, rozległy, a tém samem wspaniały. Giewont najwięcéj na północ wysunięty a przełęczą z Czerwonemi Wierchami złączony, jako najbliższy krewny tworzy z niemi jakby jedną rodzinę, ztąd naraz go zwiedzać zwykli podróżni z Czerwonemi Wierchami.

Różnemi drogami wychodziłem już na Czerwone Wierchy, nieznaną mi jeszcze była jedna, zachwalana dla krótkości, przez Przysłop i dla jéj poznania w r. 1869. wybrałem się w gronie kilku osób na rzeczone wierchy. Za przewodnika mając Macieja Sieczkę, przy pięknéj pogodzie, wyruszyliśmy 22 lipca o 6 godz. rano w drogę.

Idzie się na zachód od Zakopanego, minąwszy szereg domostw, wiedzie droga wśród wonnych łąk pełnych różnobarwnego kwiecia, poczem nastaje kawałek lasu, kilka małych potoczków przerzyna równinę a w pół godziny przybywa się na brzeg doliny, któréj środkiem z łoskotem toczy się potok, niewiedzieć dla czego Cichą zwany. Droga jedna wiedzie daléj w las ku Kościeliskom, myśmy zaś skręcili ścieżką w dolinę ujście Małéj Łąki. Chłód owiał nas z jéj wnętrza, co na nas mile oddziałało, po dotychczasowéj przechadzce wśród skwaru słońca.

Drożyna wije się koło potoku przez las, czasem po spadzistych głazach, napotykaliśmy ślady jezdnéj niegdyś drogi tu i owdzie; pogniłe belki z dawnych mostków zdradzały istnienie niegdyś ludzkiéj komunikacji. Opuściliśmy w krótce potok, zboczywszy na zachód w las w górę na Przysłop, na polanę Miętusią. Stawaliśmy często dla odetchnienia, bo zbocze było strome, w tem doleciały nas wesołe okrzyki, a po chwili ujrzeliśmy dziewczęta biegnące żwawo z żętycą w dzbankach, niesioną dla gości w Zakopanem. Z dziwieniem nas powitały; jedna z nich była Hannusia córka Janikowéj gospodyni, cośmy u niéj mieszkali, napoiła nas żętycą dla nas niesioną, i popędziła za drugiemi do domu.

Ciągłem dążeniem pod górę trochę już utrudzeni radzi byliśmy, gdy się nam z pośród drzew grzbiet Przysłopu (4276') pokazał, a nim wązką ścieżką przez bujną łąkę dotarliśmy do szałasu, przybycie gości oznajmiły psy całéj osadzie Miętusiańskiéj. Owiec przy szałasie nie było, juhasi je popędzili w turnie na paszę, jedno jagnie słabe pasło się koło szałasu, uwiązane na długim sznurku. Z szałasu uchodził dym z dogorywającego ogniska, bo już żętyca była odgotowana, i sér zrobiony; baca i kilku juhasów na gawędzie przy fajeczce czas spędzali, gdy nas usłyszeli, wyszli na powitanie. Bacował wtedy na Miętusiéj hali Klimas Miętus, gazda z Miętóstwa, wioski koło Czarnego Dunajca, idealny typ górala tatrzańskiego. Młody, może 27 lat liczący, potężnie zbudowany, rozumny, jak na górala wykształcony, gdyż przebył kilka klas gimnazyjalnych, żołnierz z powstania r. 1863. o czem z chlubą wspomina, przyjął nas z szczerością właściwą naszemu ludowi a grzecznością miejską. Spotkanie takiéj postaci wśród ludu, wśród turni, łapie za serce, rozmowa żwawa i ochocza rozwinęła się prędko. Mój towarzysz Władysław Cz. uczestnik ruchu z roku 1863. tem bardziéj się uradował, znalazłszy tu, gdzie się tego najmniéj spodziewał, kolegę z szeregów narodowych. Gościł nas baca, czem mógł, serem i żętycą, a my jego cygarami i tytoniem, bo i ja, chociaż nie palę narkotyku wschodniego, jadąc w Tatry zaopatruję się w tytoniowy materjał, gdyż górala niczem tak nie uraczy, jak cygarami lub tytoniem. Juhasi, cośmy ich w szałasie zastali, byli już lat podeszłych, młodsi łażąc za owcami, hukali sobie po turniach. Odgłos przeciągłych okrzyków „uuu... cha!" rozlegający się po skałach powtarza się, ma to coś w sobie nader oryginalnego, zupełnie odpowiedniego dzikiéj górskiéj przyrodzie, dodawszy do tego szczekanie psów, brzęk dzwonków zawieszonych u szyji owiec, utworzy się mowa turni w czasie lata, gdyż w innéj porze głuchą ciszę przerywa jedynie poświst wichru lub huk burzy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

POKŁOSIE.

Donoszą nam z Zemlina, że w „Belgradzie umarł nagłą śmiercią Badowski, emigrant z r. 1843. Służył on w szeregach polskich podczas powstania węgierskiego, brał czynny udział w wojnie Wschodniéj, a w r. 1856 został tłómaczem przy konsulacie francuzkim w Serbji." — Przy niedokładności powyższéj wzmianki nekrologicznéj niepodobna się powołać na pamiętnik jenerała Wy-

sockiego, który na str. 141 wykazuje pod Nr. 32 podporucznika Józefa Badowskiego.

* * *

Czy istnieje przekład polski, lub szczegółowy rozbiór Karola Gottloba **Anton'a** dzieła niemieckiego p. n. „Erste Linien eines Versuches über den Ursprung, die Sitten, Gebräuche, Meinungen u. s. w. der alten **Slaven**", wydanego roku 1783—9 w Lipsku u Böhme'go? —

W bibliotece Gdańskiéj mają się znajdować rękopisma po Antonim z Galatiny, zwykle Antonius de Ferrariis-Galateus zwanym. Nie wiadomo, jakim się tam dostały sposobem i jakiéj są treści. Antoni, zmarły r. 1517 w Lecce, był filozofem, poetą, ziemiopisem i lekarzem włoskim.

Wychodząca we Lwowie Gazeta Literacka rozpoczęła druk pracy Władysława **Sabowskiego** p. n. „Ze świata myśli" i fantazję dramatyczną, osnutą na tle prawdziwych wypadków z powstania na Ukrainie w r. 1863 pana **A... H...** p. n. „B r u n o."

P. Izydor **Szaraniewicz** wydał w języku niemieckim krytyczne poglądy na historję narodów karpackich w starożytności i średnich wiekach.

W Szwajcarji wyszedł drugi tom pamiętników **Dołgorukowa** p. n. „Mèmoires du feu le prince Dołgorouki."

Do historji ostatniéj wojny coraz nowe pojawiają się materjały i monografje. Emil **Leclerq** wydał: „La guerre de 1870. — L'esprit parisien produit du regime imperial." Bruksela 1871. Ciekawe są poglądy autora, wykazujące, jak rządy napoleońskie wpłynęły szkodliwie na wszystkie kierunki życia francuzkiego; **Marek Debrit** „La guerre de 1870." Genewa i Paryż 1871. Są to notaty robione współcześnie, ztąd pozbawione krytycznego rzutu oka. Pięć części i dodatek.

Z broszur politycznych — legitymistycznego **Alfreda de la Guéronnière**: „La Catastrophe de la France. L'anarchie demagogique" i „Place au droit", obiedwie odnoszące się do paryskiéj komuny. —

Skrzynka do listów.

P. R... Tr... w Pł... pod B...: Wysłaliśmy, stosownie do życzenia.

P. G... w Gandawie: Przedpłata na Belgję wynosi kwartalnie 21½ sbr., którą Szanowny Pan w kuponach belgijskich lub niemieckich markach pocztowych nadesłać zechce pod adresem Tygodnika Wielkopolskiego.

P. J... Gl... w Toruniu: Zechciéj się Pan zgłosić do autora Pamiętników, pana Czaplickiego w Krakowie, przy ulicy Różanéj Nr. 417.

P. D... w Litzbarku: Czwarty tom „Tułaczy" nie wyszedł dotąd; dziełko „Napoleon I i Kościuszko" nadeśle księgarnia pana J. K. Żupańskiego, skoro się o nie wystara.

P a n ó w a u t o r ó w z k t ó r y c h prac robimy odbitki upraszamy o odsyłanie nam odebranych exemplarzy Tygodnika, w których znajdują się ich prace, z poprawkami, jakie zrobić chcieliby, zanim te rzeczy wyjdą w książkach. — Brakujące w skutek tego numera, Redakcja pośle im drugi raz.

Sprostowanie.

W numerze 28, na str. 346 naszego Tygodnika, w artykule „Teorje polityczne XVI wieku", wkradły się następujące omyłki drukarskie:

Zamiast Bercugar, czytaj B e r e n g a r;
„ Kesketa, „ B e c k e t a;
„ Decus „ D u n s.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca E d m u n d C a l l i e r. — Czcionkami drukarni L u d w i k a M e r z b a c h a w Poznaniu.